

TRYLOGIA ODRODZENIA

SALON ROZPUSTY



AGNIESZKA CZERWIŃSKA

AGNIESZKA CZERWIŃSKA

TRYLOGIA ODRODZENIA

SALON

ROZPUSTY



Tytuł: Salon rozpusty

Redakcja: Kachna Kraśnianka-Sołtys • IG [@kachna.krasnianka](#)

Korekta I: Elżbieta Wołoszyńska-Wiśniewska • IG [@redaktorka.el](#)

Korekta II: Wiktoria Marek • IG [@thecrownisland](#)

Okładka: Dariusz Czerwiński

Opracowanie DTP: Dariusz Czerwiński

Projekt pdf, e-pub i mobi: Kachna Kraśnianka-Sołtys

Konwersja do e-pub i mobi: Kachna Kraśnianka-Sołtys

© Copyright by [Agnieszka Czerwińska](#)

Wydawnictwo: [i-pisarz.pl](#) • [www.agnieszkaczerwinska.pl](#)

ISBN 978-83-965171-3-5

Fragment kodeksu piętnastu rodów.

Prawo herbu:

Każdy ród ma prawo, lecz i obowiązek stworzyć własny herb
odróżniający go od motłochu. Symbolizować ma tak historię
danego rodu, jak odnosić się do motta rodowego.

Ma zostać wyszyty na jedwabiu, namalowany
na płótnie i wykuty w stali.

Herb ten będzie dumą rodu, znakiem rozpoznawczym
i postrachem wśród wrogów.

Kto herbu swojego się wyrzeknie, pozbawiony zostanie
wszelkich praw, statusu społecznego, a także majątku.

Prawo to, jak i obowiązek,
zostaje nadane jedynie wybranym rodom.

PROLOG



Poprawiam za dużą włoską marynarkę, którą udało mi się kupić rok temu na wyprzedaży garażowej u starego Simona. Rasek od spodni pękł w kilku miejscach, ukazując marność wyrobu. Zasłaniam marynarką koszulę poplamioną kawą. Czas najwyższy wrócić do domu, zanim żona sama się po mnie pofatyguje, ale jeszcze chwilę musi dać sobie beze mnie radę. Wyjmuję z kieszeni kartkę, uważnie sprawdzam adres, pod jakim skrywa się „gnijący chłopiec”. Numer wraz z nazwą ulicy wygrawerowane są na granitowej tabliczce. Dom mieści się w centrum modnego osiedla, na które mnie nigdy nie byłoby stać. Piękny, zadbane budynek, z jeszcze piękniejszym ogrodem. Czy ja naprawdę dobrze trafiłem? Zastanawiam się.

– Panie Galvin? – Zwrócił na mnie uwagę Oliver.

– To tutaj – zakomunikowałem. – Złożmy wizytę panu Victorowi Woodowi.

– I rozwiążmy zagadkę Kolekcjonera ludzi – dodał ochotczo Oliver.

Zamykam drzwi mojego chevroleta, pewne kroki kieruję ku wysokiemu ogrodzeniu. Czy nawet ono musi wyglądać, jakby właśnie wyskoczyło ze sklepu? Zaczynam mieć kompleksy.

– Panie Galvin, nie uważa pan, że sprawa Roxanne Bedlington jest podejrzana? – spytał asystent.

– Dlaczegoż to?

– Opowiadał mi pan o rodzie Bedlingtonów. Skoro jest taki ważny, dlaczego nie szukał jednej ze swoich? – Zanurzył we mnie spojrzenie.

Poprawiając znów marynarkę, naciskam dzwonek, zastanawiając się nad odpowiedzią, jakiej mam udzielić Oliverowi.

– Mam pewne przypuszczenia, Oliverze – odrzekłem – ale nie podzielę się nimi z tobą, dla twojego bezpieczeństwa.

– Ród Bedlingtonów jest niebezpieczny? – zapytał.

– Wszystkie rody są – syknąłem.

Przed oczyma pojawia się starszy mężczyzna, wyglądając zza zadbanego ogrodzenia. Na pierwszy rzut oka dostrzegam liczne blizny na jego twarzy. Białe włosy zaczesane są skrzętnie na tył głowy, a piwne oczy rzucają nam pytające spojrzenie.

– Panowie do mnie? – wychrypiął.

– Nazywam się Theodore Galvin, a to mój asystent, czy mam przyjemność z Victorem Woodem?

Mężczyzna otwiera przed nami furtkę prowadzącą do zadbanego ogrodu. W tej chwili jestem w stanie zobaczyć, że porusza się o lasce. Jednak nie to mnie niepokoi, a niespotykane okrągłe blizny w okolicach nadgarstka.

– Zgadza się – potwierdził. – Więc czemu zawdzięczam wizytę...

– Detektywów – dokończyłem. – Może wejdziemy do środka i porozmawiamy?

– Wejdźmy więc – mruknął beznamytnie Victor.

Pierwszy krok znaleźć adres, drugi odnaleźć świadka, trzeci dostać się do środka. Uśmiech zwycięstwa pojawia się na moich ustach, gdy zajmuję miejsce na fikuśnej kanapie w przestronnym salonie.

– Kontynuujmy – poprosił starszy mężczyzna. – Co robią u mnie detektywi?

– Badamy sprawy zaginięć, które przypisujemy Kolekcjonerowi ludzi – wyjaśniam. – Podejrzewamy, że padł pan niegdyś jego ofiarą.

Na twarzy domniemanego „gnijącego chłopca” dostrzegam trwogę, wzrok jednak bada uważnie odsłonięte kostki u nóg, na których również dostrzegam okrągłe blizny.

– Cierpiał pan na nieuleczalną chorobę – wtrącił Oliver. – A teraz jest pan zdrowy, nie licząc kilku blizn.

– Nie pomogę panom – odrzekł Victor – nie pomogę, nie dlatego, że nie chcę, ale nic nie pamiętam.

– Jednak drogę do ojca pan odnalazł – rzuciłem natarczywie.

Mężczyzna zanurza wzrok w dłoniach i nadgarstkach, na których wciąż dostrzegam blizny.

– Nie ja, lecz... – Zamyśla się. – Pewnego dnia obudziłem się w tym domu, wraz z listem mówiącym, kim jestem, gdzie znajdują się moi bliscy, czym się zajmuję. Tam było napisane, że miałem wypadek, po którym doznałem amnezji, jednak... – Znów się zamyśla. – Czasem mam sny, w których widzę straszne miejsca.

– Czyli jak straszne? – drążę temat.

Dzwonek telefonu wyciąga z salonu Olivera, mam nadzieję, że oznacza dobre wieści, a nie jego nadopiekuńczą mamusię.

– Sale eksperymentalne – odpowiada po chwili mężczyzna – gdzie postać, która zamazuje się w mojej pamięci, czyni okropne rzeczy ludziom, głównie kobietom.

- Wie pan może, gdzie mogło mieścić się to miejsce?
- Przypominam, że dla mnie to był koszmar senny, nie jestem pewien, czy była to jawa.
- Victorze, każda wskazówka może pomóc nam zakończyć chore plany tego szaleńca.
- Sam nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Nie pamiętam, abym kiedykolwiek widział budynek lub cokolwiek prócz bieli i skalnego mroku.
- Skalnego? – powtarzam.
- Victor przeciera dłońmi twarz.
- Nie chcę wprowadzić was w błąd, przepraszam.
- Rozglądam się po salonie, starając się znów namówić starca do rozmowy. Wzrok zawiesza się na lekach leżących na szafce.
- Jesteś alergikiem? – spytałem.
- Uczulają mnie zboża – powiedział cicho. – Kicham jak szalony, duszę się i nic nie widzę, zupełnie jak czasem w moim śnie.
- Zboża? – powtarzam.
- Tak, w czasie późnego lata staram się nie wychodzić z domu. – Znów zawiesił wzrok na nadgarstkach. – Jeszcze jedno, czasem czuję, jakby moje ciało nie kończyło się tam, gdzie kończą się kończyny, ale jakby było dłuższe.
- Dłuższe? – pytam zaintrygowany.
- W tym śnie zawsze widziałem swoje żyły biegnące nad moją głową i pod stopami – wyznał. – Jakby moje ciało było większe niż teraz.
- Może zapamiętałeś imię, nazwę lub cokolwiek jeszcze? – dopytuję uparcie.
- Numer – potwierdził, patrząc w moje oczy – numer 2999.
- 2999 – powtórzyłem pewnie. – Co on może znaczyć?

Victor wzrusza ramionami. Na twarzy starszego mężczyzny dostrzegam nie tylko zmęczenie, lecz jeszcze jedno – uczucie strachu. Mam wrażenie, że ukrywa on przede mną istotny fakt.

– Victorze, jeśli nie powiesz mi wszystkiego, porwani nigdy nie wrócą do rodzin.

Starszy mężczyzna unika mojego wzroku, zapatrując się po raz kolejny na swoje dłonie. Z kieszeni wyjmuję wizytówkę i kładę na stoliku.

– Jeśli przypomnisz sobie cokolwiek, nawet jeśli uznasz to za nieistotne, lub będziesz chciał pogadać, zadzwoń.

Wyszedłem z obszernego salonu, a w konsekwencji z domu „gnijącego chłopca”. Jego opowieść brzmiała nieprawdopodobnie. Tak, jak chciałem, aby zabrzmiała. Eksperymenty na ludziach wydają się coraz bardziej prawdopodobne. Podchodzę do bladego jak mąka w spizarce Olivera. Ogląda coś w telefonie, zapewne to rachunek za prąd lub SMS od matki.

– Niczego się ode mnie nie nauczysz, siedząc z nosem w telefonie! – krzyknąłem.

– P-panie Galvin – wyjąkał – mam nagranie ostatnich chwil Roxanne, musi pan to zobaczyć.

Przełykając ślinę, zabieram z rąk Olivera telefon. Czekałem na tę chwilę dwadzieścia pięć lat i teraz nareszcie jestem w stanie go ujrzeć. Szykuj się, Kolekcjonerze!

Herb rodu Bedlingtonów

Na czerwonej tarczy, pokazującej krwawą historię przodków
ojca rodu, widnieje lilia, symbol potężnego rodu Bedlingtonów.

Biały, nieskalany i czysty kwiat o zielonej łodydze.

Trzyma go dłoń ozdobiona na palcu krwawym rubinem.

Herb rodu dopełnia motto na dole tarczy:

Amicus certus in re incerta cernitur.

Herb ten został wyszyty na jedwabiu, namalowany na płótnie,
wykuty w stali oraz przeniesiony na drewniane tarcze
w kształcie medalionu.

ROZDZIAŁ I



Śmierć od wieków intrygowała nas, ludzi, pod względem fizycznym, duchowym czy kulturowym. Czym tak naprawdę jest pojęcie śmierci? Czy tylko stanem niedomagania ciała? A może krokiem do innego świata? Etapem? Karą? Nagrodą? Zadaję sobie te pytania. Śmierć, czy naprawdę jest czymś złym?

Dla każdego człowieka nadchodzi dzień pożegnania. Przychodzimy na ten świat, rozwijamy się, żyjemy, starzejemy i umieramy. Tak przynajmniej jest u większości ludzi, lecz istnieją przypadki nietypowe: morderstwa, choroby, nieprzewidziane zdarzenia, które nie pozwalają nam żyć i się zestarzeć. Wtedy odchodzimy z tego świata przedwcześnie, a nasi bliscy znajdują pocieszenie w religii.

Rodzajów wiary na świecie jest tyle, ilu jest ludzi, lecz symbol śmierci przewija się przez każdą, jest niczym uniwersalny kod. Ten szyfr, jak powiedziałam, zabiera nas ze świata, w którym żyliśmy, do nieznanego. I tak jest zawsze i wszędzie.

Możemy chwytać się żalu, wylewać tę rozpacz na obrazy, wiersze, muzykę, ale nie zmienimy kodu.

Filozofowie tworzyli dzieła na cześć śmierci, założmy taki Klaudian Klaudiusz, rzymski poeta, jest autorem słów *mors omnia aequat*, czyli *śmierć równa wszystkich i wszystko*. Wielka szkoda, że ten poeta nie poznał Duncana, zapewne przeszedłby wtedy załamanie nerwowe. Śmierć w przypadku wampira jest niemożliwa, lecz pociąga go. Śmierć pod względem fizycznym, ustanie wszystkich oznak życia byłaby dla niego prezentem. Śmierć. Powtarzam. Śmierć jest tym, co sprowadziło mnie do tego miejsca, mnie oraz innych ludzi. Jesteśmy składnikiem eliksiru śmierci, trucizny, która oszuka diabła. Wstyd mi, że rozpracowałam plan Duncana tak późno, po tylu latach. Dlaczego najprostsze pomysły czasem potrafią ukryć się za mętlikiem myśli? Bywa, że umysł ludzki jest jak cegła, której nie da się rozbić, nic do niej nie dociera. Gonimy niczym szczury w potrzasku wprost do pułapki większej niż ta, w której w obecnym momencie się znajdujemy. W myślach przywołuję ostatnie godziny przed moim porwaniem. Chwile, kiedy w mojej głowie tkwiła cegła, której nie mogłam rozbić. Ślepo dążyłam do tego, co miało się stać. Duncan wszystko zaplanował, lecz dam sobie rękę uciąć, że nie sam. Ktoś mnie zdradził, a zdrajcę czeka jeden los.

Uważnie zanurzam narzędzia chirurgiczne w lepkiej różowej masie, kolejnym doskonałym wynalazku Duncana. Dezynfekująca gąbka, lecz do niej temu czemuś daleko. Jednak co może znaczyć zwykłe słowo, zwykłej śmiertelnicy? Wkrótce skończę jak 2999 stojąca teraz obok mnie i wkładająca pobrudzone naczynia do zmywarki skonstruowanej przez Duncana, czyli kuleczek w misce, które mają pełnić funkcję tego urządzenia. Jednakże słysząc dźwięk rozbitego szkła, mój dobry nastrój znika, podobnie jak i 2999.

– Zlew, woda i ścierka by wystarczyły – syczy Camille. – Znów muszę zaopatrzyć nas w nową zastawę.

– Gąbka dezynfekująca sprawia, że narzędzia chirurgiczne korodują w oczach – westchnęłam. – Wszystko na nic.

– Powiadommy go – zarządziła 2999. – Zabierz ze sobą nowe sztucce.

Sztucce w słowniku Camille to przyrządy chirurgiczne. Duncan posiada ich kilka zapleczy, przynajmniej tych, o których wiem, a z dnia na dzień dowiaduję się tutaj coraz więcej. I choć mogę sama chodzić po tunelach, już tego nie czynię. Dłoń odruchowo przejeżdża po bliźnie ciągnącej się od piersi po brzuch, aż do uda. Jedna z moich wycieczek okazała się morderczą walką o przeżycie, i przeżyłam. Tylko ja.

Od tamtego dnia wszędzie chodzę z 2999 lub z Duncanem. Zaczynam rozumieć filozofię tuneli, jednak wciąż nie wiem, jak stąd wyjść. Nawet w tej chwili idę obok niej, mijam te drzwi. Wejście, za którym znika zawsze ona. Kobieta lubująca się w ubraniach od Chanel, Złotowłosa. Za każdym razem, gdy pociągam za klamkę, jest zamknięta, nawet kilka sekund po jej wejściu. Jakby wiedziała, że ją obserwuję.

– Zamknięte – mówi 2999 – ona zawsze je zamyka.

– Kim ona jest? – pytam.

– Tego nie wiem, przecież ci mówiłam – burknęła. – Powinnaś trzymać się z daleka od tej kobiety, potrafi być niebezpieczna jak wtedy, gdy wypuściła na ciebie wilkołaka.

– Dobrze, że mnie nie ugryzł, tylko podrapał – mamrocze. – Nie zmienia to jednak faktu, że próbowała mnie zamordować, a ja nawet nie znam przyczyny.

– Ja się domyślam – mówi, idąc w ciemności. – Myślę, że chociaż ciebie zaatakował, nie ciebie miał skrzywdzić. Pan i ta kobieta mają swoje za uszami, zapewne to ich gra, aby nie popaść tutaj w obłąd.

– Duncan znów torturuje dziś kobiety?

– Jest bliski przełomu – odpowiada. – Przynajmniej mówi tak co najmniej od roku.

Camille jest moją najlepszą przyjaciółką w podziemiach, właściwie moją drugą przyjaciółką w życiu. Poza Libby moje znajomości były raczej nijakie. Niektórzy ludzie przewijają się w naszym życiu, będąc po prostu niewidocznym wiatrem, po latach nie pamiętamy nawet ich imion. Czy to nie smutne? Ile osób przewinęło się w naszym życiu, a my nawet nie jesteśmy w stanie ich rozpoznać. I w ilu my życiach się przewinęliśmy, a teraz jesteśmy dla tych ludzi nijacy. Za rokiem rok, za dniem dzień, za nocą noc, a ja wciąż tutaj, nijaka jak ludzie łamane na wiatr. Znikam z myśli, zostaję wymazana niczym szkic. Po prostu przepadam.

Uderzenie łokciem w bok szybko wrywa mnie z zadumy. Camille obdarza mnie uśmiechem, prowadząc teraz oświetlonym tunelem.

– Nie byłeś tutaj wcześniej, lepiej uważnie się rozglądaj.

– Rzeczywiście, znów nowy tunel. – Rzucam zaintrygowanym spojrzeniem po nowych lampach. – Kiedy go stworzyliście?

– Zaczęliśmy, gdy Pan cię tutaj sprowadził, ale oświetlenie stworzył Henryk Teraz – ściszyła głos. – Ten szarlatan chce tutaj stworzyć burdel.

– Burdel? – powtórzyłam zaintrygowana.

– Chce, aby światło było kolorowe. – Kiwa głową zbulwersowana. – Po moim trupie, nigdy na to nie zezwolę. Wkrótce doda odświeżacze powietrza, bezpieczne tunele i może od razu składane meble? – marudzi. – To inżynier czy dekorator wewnątrz?

– Moja przyszła ofiara po przemianie – zawarczałam.

Rzucam Camille konspiracyjne spojrzenie, czasem rozumiemy się bez słów, jak w tym przypadku. Wybuchliśmy obie gromkim

śmiechem. Po kilku latach lepiej rozumiem Camille, niż kiedykolwiek poznałam Alexandra. Czasem w myślach przywołuję jego postać, twarz, słowa. Zastanawiam się, co się z nim dzieje. Jak potoczyło się jego życie?

– Zamyślasz się – marudzi znów 2999. – W tym tempie wpadniesz na niższy poziom.

– Duncan umieszcza tutaj schody?

– Teleporter.

– Myślałam, że nie działa – zauważam.

– Ten nawiedzony Teraz wprowadza w naszym świecie chaos i do teleportera wrzucił swoje trzy grosze.

– Może nasz wampir opatentuje teleporter?

– Nie dziś i nie w tym wieku, zapewne – odrzekła sucho.

Camille prowadzi mnie do ulubionej spiżarki Duncana, gdzie dziś, ku mojemu zdziwieniu, nie ma przy nim Henryka. Teraz jest niczym wierny pies Duncana, chłonie jego wiedzę, w zamian sam robi z siebie największego niewolnika. Owijam wzrokiem nienaganny ubiór Duncana, jak zwykle garnitur szyty na miarę, w pudrowym odcieniu różu. Biel koszuli jest skalana kilkoma kroplami krwi, która czyni ją niegodną jego osoby. Włosy zaczesane, wąsy i broda zadbane, jak po wyjściu od barbera. Naprawdę przy tym wampirze mam kompleksy.

– 2999, nie śpieszyłaś się – mruknął zajęty wstrzykiwaniem jednej z kobiet podejrzanej substancji. – Witaj, Roxanne, jak mija ci dzień?

– Dziękuję, Duncanie, całkiem mrocznie i bez najmniejszych szans na wykorzystanie przystojnego wampira.

– Och, Roxanne! – zawołał. – Rumienię się przez twoje perwersyjne komentarze.

– A to tylko moje słowa, dobrze, że nie znasz moich myśli. – Uderzam go narzędziami chirurgicznymi. – Kogo dziś torturujesz?

– Torturuję? – oburzył się. – Szmata czasu za nami, a ty wciąż brniesz w swoje zaściankowe poglądy, zupełnie jak 2999, która wyrzuciła wszystkie taśmy LED – westchnął, ukradkiem zerkając w kierunku Camille, która się uśmiechnęła. – Naprawdę nie rozumiem, czym Henryk tak cię złości.

– Nie porównuj mnie, Panie, do zwykłych ludzi – prychnęła.

– Nie możemy żyć w świetle świec czy lamp naftowych – upiera się Duncan – dlatego przyniesiesz wyrzucone taśmy, razem z Henryka ekspresem do kawy, odświeżaczem powietrza czy szafką samopiorącą.

Przerazający krzyk nie pozwala 2999 zabrać głosu. Wydobywa się zza moich pleców, znam dobrze te dźwięki. To odgłos łamane na skowyt nowych porwanych. W tej chwili uświadamia sobie, że została szynką na haku, żywą. Jesteś skrępowany, czujesz te urządzenia połączone z żyłami. Odczuwasz bezgraniczne zmęczenie łamane na ból, który chcesz wykrzyczeć. Ciało piecze od substancji w nim krążących. Po chwili zauważasz, co się z tobą dzieje. Nerwowo obracasz się, dostrzegając wężyki biegnące od twojego ciała w dal. Liczne ugryzienia zdają się mnożyć w oczach, lecz najgorszy jest numer. Oznakowano cię jak zwierzę, towar lub numer karty, którym w tej chwili jesteś. Przeszłam ten etap przedśionka piekła i, szczerze, nie tęsknię za nim. Upokorzenie w postaci zawieszenia na haku, a później tortur jest rozdziałem dla mnie zamkniętym. Teraz żyję jako kat owych szynek. Przekroczyłam próg przedśionka i znalazłam się w salonie rozpusty, gdzie wszelkie nieludzkie pragnienia są spełniane i lechtają ego.

– Cudownie! – zawołał Duncan. – Obudziła się.

Prędko mnie mijając, podszedł do swojej ofiary. Duncan ekscytuje się rozmową z każdą z nich. Bywam zazdrosna o jego zapal, ale tylko czasem. Czas to bezkres, w którym przychodzi nam żyć, cierpieć, kochać i umrzeć. Bezkres emocji, bezkres uczuć, bezkres obaw... Po prostu bezkres.

Wolno i beznamiętnie podchodzę do krzyczącej ofiary. Staję za Duncanem, podobnie jak zrobiła to 2999. Camille ma na sobie dziś kitel lekarski, tak jak ja. Porusza się w nim znacznie łatwiej niż w długich sukniach, wymyśle Duncana. Pozwoliłam sobie spiąć włosy Camille, aby jej nie przeszkadzały. Dzięki 2999 mam chociaż namiastkę życia, które miałam. Jej obecność jest dla mnie ogromną pociechą.

– Gdzie ja jestem!?

Krzyk kobiety zwraca moją uwagę. Przenoszę wzrok na przerażone, szasklone oczy ukazujące prócz strachu nic desperacji. Duncan zdążył już oznakować jej ciało, tym samym jej imię zostanie wymazane z kart historii.

– Witaj, 9998 – odezwał się Duncan, zapewne ukazując w tym momencie zęby. – Muszę ci pogratulować, spałaś zaledwie dobę. Inne moje pacjentki przesypiają od dwóch do trzech dni.

– Kim jesteś? – syczy. – I co mi zrobiłeś, ty i te twoje... – głos więźnie jej w gardle – popieprzone sadystki!

– Wyleczę cię, 9998 – oznajmił. – A te pieprzone sadystki, jak je nazwałaś, mogą ci bardzo uprzykrzyć czas leczenia i rekonwalescencji, dlatego radzę się zachowywać.

– Z czego chcesz mnie leczyć?! – wrzasnęła.

Duncan ciężko westchnął, czyniąc kilka kroków w tył, aby znaleźć się tuż obok mnie. Uśmiech sam wymalował się na moich ustach, gdy poczułam go znów obok. Lubię, gdy jest przy mnie podczas

przyjmowania nowych pacjentek. Dostrzegam również jego lekkie znużenie całą sytuacją.

– Poczekaj, tylko się uwolnię, a pożałujesz, ty i te kretynki! – wrzeszczała.

– 2999, proszę, poczęstuj ją kneblem. Roxanne, a ty, proszę, przyłóż się do zastrzyku. Strzykawkę z różową zawartością wbij cztery palce nad pępkiem.

– Ciemno czy jasnoróżową zawartością? – upewniam się.

– Ciemno – odrzekł zadowolony. – Jak widzisz, Roxanne wraz z 2999 nie polubiły cię – zwrócił się do porwanej. – Inaczej Roxanne by się sprzeciwiała. W nagrodę pozwolę jej dziś odwiedzić moje małe zoo.

– Pieprz się, razem z tą Roxanne – warknęła.

Cisza szybko otuliła moje uszy, za co byłam wdzięczna 2999. Pacjentki Duncana potrafią wyprowadzić z równowagi. Po chwili znów zajęłam swoje miejsce, czyniąc to, co Duncan mi rozkazał. W takich przypadkach nie mam oporów. Krzywdząc takie krzykaczki, wyobrażam sobie osoby, które uprzykrzały mi życie. Może i mój wewnętrzny demon dzięki temu żeruje, a sumienie bierze wolne, ale nie mam zamiaru się litować. Nie teraz.

– Co jej dolega? – pytam.

– Cóż, jest agresywna, nadpobudliwa, lecz nie zdiagnozowano u niej żadnej choroby, zaburzeń czy innych niepokojących odchyleń – wyjaśnia. – Jednak osoba zdrowa nie wszczyna awantur, nie używa wulgaryzmów zamiast słów niezbędnych do komunikacji.

– To się nazywa wiek dorastania – zaśmiałam się.

– Czyżby?

– Siedemnaście lat – zauważam, zerkając na kartę. – Więc jaką terapię zaczynamy?

– Lobotomię – odrzekł pewnie. – Tutaj nie ma co ratować, musimy zacząć od nowa.

– W takim razie przygotowuję salę...

Duncan mi przerywa:

– Mam dla ciebie inne zadanie, spotkamy się w tunelu, w którym prawie straciłaś życie.

– Mam się bać?

– Droga Roxanne, znasz mnie wystarczająco długo, aby wyeliminować taką ewentualność.

– Skoro mam twoje słowo, niech stracę.

Rzucam jeszcze jedno spojrzenie na nową ofiarę Duncana, nareszcie zrozumiała, że jest tutaj pyłem. Czeka ją ten sam los co inne. Zniknie z kart historii, z życia bliskich, ze społeczeństwa, tak jak ja zniknęłam. Idąc już osamotniona korytarzem, włączam nieduże radio, nasłuchując wiadomości. W tym czasie zawsze mówią o Duncanie i tak jest dziś, natychmiast dociera do mnie głos spikera.

– Rodzice, ukryjcie nastolatki, Kolekcjoner ludzi znów uderzył. Od pamiętnego zaginięcia grupy kobiet, odpoczywających w letnim domku, minęły zaledwie dwa miesiące, a on znów uderzył. – Spiker wzmocnił głos. – Kolekcjoner ma na swoim koncie tysiące kobiet, w tym słynną Roxanne Bedlington. Po jej zaginięciu detektyw Galvin wysnuł teorię, że porwane kobiety, i nie tylko kobiety, jak mówił, stają się eksperymentem medycznym – zachrypiał. – Przypuszczenie to zostało podważone, lecz nie zmienia to faktu, że Kolekcjoner pozostaje nieuchwytny. Domniemana kryjówka Kolekcjonera, gdzie zniknąć miała Roxanne, również okazała się ślepym korytarzem, dosłownie...

Wyłączyłam radio. Wszystko, co mówił spiker, powtarza się dzień po dniu. A numer Duncana z porwaniem grupy kobiet był nawet zabawny. Tamtej nocy założyłam się z nim i Camille, że nie dadzą

radę porwać więcej niż piętnastu kobiet naraz. I co? Przywieźli dwadzieścia jeden. Nigdy więcej nie wchodzę z tym wampirem w żadne podejrzane zakłady. Czekam w tunelu, w którym prawie zginęłam, staram się jednak unikać widoku zadrapanych ścian czy podłogi. Od tamtego pamiętnego dnia Duncan zainwestował w oświetlenie tego miejsca. Mimo to otulam się ramionami, które mają zapewnić mi choć krztynę bezpieczeństwa.

– Droga Roxanne – woła Duncan – tak paraliżuje cię to miejsce?

Ukradkiem widzę, że niegodna jego osoby koszula zniknęła, zastąpiona czystą i nieskazitelną. Nawet nie próbuję zadreć za siebie myślami, kiedy wampir miał na to czas.

– Zimno mi – burknęłam. – Gdybyś wypuścił mnie na zakupy, nie byłoby problemu.

– Istnieją zakupy internetowe – odrzekł zadowolony. – Tyle razy już ci to proponowałem.

– Wolę przymierzyć – droczę się.

– 1891 cudownie szyje. – Prowadzi mnie korytarzem. – Poproszę ją, aby stworzyła dla ciebie kuszące, ponętne i wygodne odzienie.

– Poproszę dresy, Duncanie.

Westchnął z niezadowoleniem.

– Kobieta twego pokroju nie może pokazywać się w dresach, pomyśl – wzmocnił głos – przechadzamy się po mojej spiżarni, jak ją pieścizotliwie nazywasz, aż w pewnym momencie jedna z moich pacjentek umiera. Ostatnią osobą, którą widzi, jesteś ty, chyba nie chcesz, aby zobaczyła kocmołucha, tylko damę.

– Naprawdę? To jest twój argument? – pytam z niedowierzaniem. – Nie będę ubierać się pod twoje dyktando i po raz kolejny rozkazuję ci kupić mi różową farbę do włosów.

– Prędzej zaproszę tu Galvina – syknął.

Potrząsam głową załamana. Duncan jest uparty jak osioł! Tego mi brakowało w życiu, braku możliwości decydowania o sobie i swoim wyglądzie.

– Dokąd idziemy?

– Zmieniasz temat? – zaśmiał się. – Roztropnie, Roxanne. Zaskakujesz mnie z dnia na dzień, oczywiście są to pozytywne odczucia, dlatego pragnę pokazać ci miejsce szczególnie bliskie memu sercu.

Duncan zatrzymał się w jednym z rozwidleń tunelu. Uważnie obserwuję, jak popycha ścianę, za którą znajduje się pomieszczenie. Zaprasza mnie, jak ma w swoim zwyczaju, a ja, jak mam w swoim – pozwalam się zaprosić. Jeśli kiedyś mówiłam, że filmy science fiction nie mają powiązania z rzeczywistością, w tym momencie to odwołuję. W pomieszczeniu znajdują się ogromne przezroczyste rury wykonane z nieznanego mi tworzywa.

– Kiedyś te tunele – zaczyna Duncan, dotykając jednej z rur – staną się środkiem podwodnego transportu. Ich struktura pozwoli na przemieszczanie się pod wodą w bezpieczny sposób, nie zważając na ciśnienie, zwierzęta czy nawet humorki matki natury. NTT wejdą w życie razem z LPM-em. Teraz te wynalazki zmieniają nasz świat.

– NTT? – pytam.

– Niezniszczalne tunele transportowe – wyjaśnia. – Kiedyś będą one obiegać cały świat, a jeden z nich przyda się pewnej kartografce.

– Czyli umieszczone będą nie tylko w wodzie?

– Słuszna dedukcja.

Dotyk Duncana sprawia, że NTT rozchyła swoją strukturę niczym za dotykem czarodziejskiej różdżki, a moje usta odruchowo rozchylają się w kształt dużego O. Duncan przeszedł samego siebie, stworzył technologię tak zaawansowaną jak magia.

– Jak? – spytałam.

– Pewnego dnia to, co widzisz, będzie dla ludzi tak samo popularne jak woda w kranie czy słońce na niebie – mówi wolno. – NTT jest krokiem w przyszłość, ale póki co pozwól do mnie.

Duncan obejmuje mnie, tym samym nasze ciała znajdują się w NTT-ecie. Pomimo braku podłoża nie lecimy w dół ani w górę. Ciało wydaje się zachowywać, jakby nie ograniczała go grawitacja. Zupełnie jak magia, prawdziwa magia, będąca zaawansowaną technologią.

– Zoo – powiedział Duncan.

Spadamy niczym w windzie, lecz w sposób świadomy, kontrolowany i przyjemny. Wtulam się w Duncana, od kilku dni nie miałam możliwości tego zrobić. Jak zwykle pachnie uwodzicielskimi perfumami, które kocham wdychać. Jego skóra jest lodowata, to oznacza, że zoo jest ostatnim punktem na liście. O ile zaraz nie poczuję jego kłów w swoim ciele. Serce przyśpiesza na myśl o wspólnych namiętnych chwilach. Pomimo tego, że jest moim porywaczem, jest mi bliski. To do niego mogę się przytulić, z nim porozmawiać, mogę też po prostu rzucić się do ucieczki, gdyż wiem, że w razie kłopotów paradoksalnie mogę liczyć na jego pomoc. Ocieram się twarzą o jego szyję, zupełnie jakbym chciała go oznaczyć: „Ten wampir jest mój”. Zaciśkam palce na jego szykownym ubiorze, gniotąc go.

– Jesteśmy – wyszeptał.

Niechętnie odrywam się od Duncana. Moim oczom natychmiast ukazuje się park, zupełnie jak ogród w mieście, lecz skalne sklepienie podpowiada mi, że nie ma on nic wspólnego z powierzchnią. Nogi same wyprowadzają mnie z NTT-u, prowadzą do oazy dla oczu i duszy. Prawdziwy, niezmieniony genetycznie park. W tej chwili nie zadaję sobie pytania: jak?, tylko: dlaczego?

– Tutaj mam swoje małe zoo – oznajmia Duncan. – Gatunki zwierząt, które znasz, i te wymarłe, przynajmniej ich część.

– To arka Noego? – zapytałam.

– Można to ująć w taki mało zgrabny sposób, Roxanne – potwierdził, chwytając mnie pod rękę. – Frotka nie lubi tutaj przebywać, preferuje buszowanie na górze. Uwielbia, gdy zboża rosną – opowiada. – Wbiega w nie wtedy niczym mały kotek w poszukiwaniu domu dopiero co narodzonych myszy.

– Dziwnie to opisujesz – zauważam.

– Mordowanie jest w jej naturze, tak jak życie w klatce w twojej.

Słowa Duncana działają jak nóż wbijany w moje serce. Czasem potrafi zranić, choć wiem, że nie to było jego zamysłem. Milcząc, obserwuję pojawiające się zwierzęta, które żyją w symbiozie: drapieżniki i roślinożerców. Ciekawe – mówię w myślach.

– Uraziłem cię?

– Skąd ten pomysł? – odparłam sucho.

– Milczysz od kilku minut – zauważa.

– Obserwuję twoje zoo. – Odsuwam się od Duncana i podchodzę do ławki, na której siadam. – Szklana?

– Wytrzymała, estetyczna i lubię szkło – wyjaśnia. – Opatentuję ją, lecz jeszcze...

– Nie dziś – dokończyłam wypowiedź wampira – gdyż napięcia narastają i wkrótce wybuchnie wojna, wiem.

Zajął miejsce tuż przy mnie. W milczeniu obserwujemy otaczającą nas zielen. Odgłosy ptaków, świerszczy, żab i innych stworzeń docierają do moich uszów. Sztuczny świat wypełnia swoje przeznaczenie, jest arką. Może tak naprawdę cały świat jest jedną wielką arką, a to nasuwa mi myśl, że jeżeli raj jednak istnieje, nie należy on do nas. Panem tego rajy jest ten, którego poznać nam nie będzie dane.

Tak jak teraz te zwierzęta żyją w klatce, tak ja w niej żyję, jednak one pozostają nieświadome.

– Jesteś głodny?

– I to bardzo – potwierdził. – Myślałem, że już nie zapytasz.

– Miałam nie zapytać, ale wtedy ten dzień byłby nudny – zakpiłam. – Więc liczę, że mnie zaskoczysz.

– A więc nie mogę zawieść.

Ujął moją dłoń, po czym dał mi znak, abym wstała. Pomysły Duncana często onieśmielają, wprowadzają w zakłopotanie, a zarazem zachwyty. Ale przede wszystkim uderzają w moje serce tak mocno, że każda chwila spędzona bez niego jest dla mnie udręką. Mówię jak typowa romantyczka, którą nigdy nie byłam. Zawsze należałam do realistek, stapałam twardo po ziemi, wiedziałam, że gdy padnie bateria, nie naładuję jej siłą woli. W tych tunelach jednak wszystko jest możliwe i zmiana w romantyczkę też jest prawdopodobna. Z pragmatyczki, która życie spędziła na urban exploration. Wzdycham w duchu. Kłócę się sama ze sobą.

Duncan prowadzi mnie wydeptaną ścieżką do gorących źródeł. Uśmiech sam ciśnie się na moje usta, gdy widzę to romantyczne miejsce.

– Kobiety uwielbiają gorące kąpiele, czasem mam wrażenie, że pochodzicie z piekła – zaczął uwodzicielskim głosem. – A skoro jesteś po części piekielną istotą, pomyślałem sobie, że nie pogardzisz namiastką domu.

– Gorące źródła? – pytam.

– Zgadza się.

– Chcesz, aby moja krew nie była zbyt wychłodzona?

– Tak sądzisz? – odpowiedział pytaniem.

– Nieważne – kwituję.

Zrzuciłam kitel, właściwie tylko to miałam w tej chwili na sobie. Spojrzenie wampira ma w sobie mieszankę rozbawienia i zadowolenia. Nie czekając na jego inicjatywę, czy rzucenie się na mnie, aby odebrać mi brutalnie krew, wchodzę do wody. Gorące źródła powinny być piękne, dla mnie temperatura wody mogłaby być nieco wyższa, lecz nie mówię tego Duncanowi. Siadam, a plecy opieram o skalną ścianę. Głowa i szyja wystają znad wody, podobnie jak ramiona. Delektuję się chwilą błokiego relaksu, zanim kły wbijają się w moje ciało. Wzrokiem szukam Duncana, lecz nie dostrzegam go, co wywołuje u mnie zaniepokojenie. Myślałam, że dołączy do mnie.

– Duncan?

– Za tobą – szepnął do mojego ucha. – Nie odwracaj się.

Westchnęłam.

– Jesteś bardzo nieprzewidywalnym wampirem.

Przymykam powieki, głowę delikatnie odchylam do tyłu. Czekam na ruch wampira, przyjemność dla niego, ale i konieczność, do której przywykłam. Dreszcz przechodzi przez moje ciało, gdy lodowate opuszki palców dotykają szyi. Wodzą po niej, zataczając kółka, jego długie paznokcie nie drapią mnie. Wampir opanował do perfekcji sprawianie przyjemności, ale i bólu. Czasem jedno nie może istnieć bez drugiego, jak w tej chwili. Ciężko łapię powietrze, czując, jak jego dłoń zjeżdża do mojego obojczyka. Myśli szaleją, chociaż powinnam być opanowana, nie chcę znów pozwolić Duncanowi na odczytanie moich uczuć. Zimne wargi całują szyję, pieszczą ją delikatnymi pocałunkami. Każde takie muśnięcie przyśpiesza mój oddech, pragnę złapać wampira za włosy i przyciągnąć do siebie. Muśnięcia zjeżdżają do ramienia, są coraz bardziej intensywne. Zęby oraz kły zahaczają o skórę, rysując ją. Ciało wygina się pod pieszczotami połączonymi z torturą. Duncan wbija we mnie trzy kły, wolno, lecz namiętnie,

sprawiając mi tym nieopisaną przyjemność. Jęknęłam pod jego cieniem. Pozostałe zęby zagłębiają się w ciele, jęk się potęguje, zupełnie jakby ktoś włączył opcję „podgłośnić”. Ręka kochanka znajduje moje usta. Zatyka je, co mnie dziwi. Duncan nigdy tego nie robił, staram się zerwać jego dłoń, lecz jest zbyt silny. Mimo to nie poddaję się, łapię skórę w zęby, przygryzam ją. Kochanek niemal natychmiast oderwał rękę od moich ust.

– Nie uciszaj mnie, bo źle skończysz – warknęłam.

Przyszpilił się mocniej do mojej skóry, brutalna utarta krwi nie należy do przyjemnych, ale przy tym wampirze nawet tortura bywa rozkoszą. Głośno westchnęłam. Wracam do swojej pozycji, nie pozwolę, aby wampir mną rządził. Może i jestem więźniem w podziemiach, ale przede wszystkim jestem Roxanne Bedlington!

Ona - przyszła pani przedsiionka piekła, zakochana
kobieta, otulona mrokiem przeszłości.

On - twórca nowego świata, pół wampir,
pół demon, tający sekret odrodzenia.

Minęło pięć lat od zwabienia Roxanne Bedlington do przedsiionka
piekła - królestwa Duncana.

Świat, który na początku wydawał się dla niej okrutny oraz
mroczny, odsłonił swoją niezwykłą i magiczną postać.

Znudzona życiem mężatka, miłośniczka urban exploration
zaznała uczucia, którego się nie spodziewała. Przystojny wampir
skradł jej serce i zabrał do salonu rozpusty.

Roxanne przeobraziła się, w jej ciele narodził się demon, który
namawia ją do okrucieństw sprawiających jej przyjemność, ale
niosących też cierpienie, a nawet śmierć. Czy wyzbyła
się ludzkich uczuć na zawsze?

A może wewnątrz Roxanne kryje się potężniejsza istota? Mrok
przeszłości dosięgnął ją nawet w tych czasach.

Ale to jeszcze nie koniec...

Zwabiona, przetrzymywana, torturowana - odnalazła swój dom
w przedsiionku piekła. Jednak gdy została zmuszona, by porzucić
ukochanego Duncana, w zamian znów poczuła zapach świeżego
powietrza. Czy to sprawi, że jej uczucia zbledną? Czy uda jej się
rozwikłać zagadkę, którą skrywa przed nią
Duncan Cyrus Albert Bedlington?

Salon rozpusty to drugi tom trylogii odrodzenia.



ISBN 978-83-965171-3-5



i-pisarz.pl